

JAN ZAMOJSKI

KSIĄŻKI O WOJNIE NA PACYFIKU I O UPADKU JAPONII

Europocentryzm skłania nas do widzenia II wojny światowej w ramach przede wszystkim naszego kontynentu, uzupełnionego o basen śródziemnomorski i Atlantyck. Już kampania etiopska wydaje się czymś odległym, marginesowym, pomijanym. Nawet dwa atomowe grzyby tracą w tej perspektywie grozę, z jaką przyjmowalibyśmy je, gdyby wyrosły nad Hamburgiem i Düsseldorfem. Wojna na Dalekim Wschodzie i Pacyfiku jawi się nam jako albo w ogóle nie związana z tą, naszą II wojną światową, albo też rozgrywająca się gdzieś na jej marginesie. A jednak, mimo odległości dzielącej oba wielkie teatry działań wojennych, mimo zasadniczej odmienności ich warunków naturalnych, a stąd i sposobu prowadzenia operacji wojskowych, charakteru walk itp., była to jedna wojna. Wzajemne uwarunkowanie było bardzo silne i to zarówno w sferze decyzji strategicznych, jak też w zasadach działań. Ba, nawet i nasza „sprawa polska” miała punkty styczności z tym, co działo się na drugim krańcu naszej hemisfery.

Może jeszcze garść uwag z kategorii wprowadzających. Wielkie wojny rzadko kończą się jednym, zdecydowanym aktem. Właśnie w tym okresie, gdy jeszcze toczy się ostatnia rozgrywka, gdy wybucha recydywa „100 dni”, gdy poszczególne kraje wojujące ogarniają powstania i wojny domowe, gdy następują nagle spięcia między wczorajszymi aliantami, dzieją się najczęściej rzeczy decydujące o kształcie przyszłości. Ujawniają się nowe konflikty i nowe konfiguracje, dochodzą do głosu nowe siły społeczne lub nowe prądy ideowe i polityczne minionej wojny i wyciągane są wnioski, zajmuje się pozycje wyjściowe ważne dla przyszłych, zarysowujących się antagonizmów. I z tego punktu widzenia wojna na Pacyfiku i Dalekim Wschodzie, a zwłaszcza jej końcowy okres, dostarcza wiele materiału do refleksji i analiz.

Wreszcie — wojna z Japonią była przede wszystkim wojną Stanów Zjednoczonych, była rzeczywiście ich własną wojną, nie zaś tylko „karną ekspedycją na Hunów” w Europie. Była też wojną o wcale nieprostym charakterze, gdyż w tym konflikcie między mocarstwami imperialistycznymi występował jeszcze motyw wywołanej walki narodów kolonialnych. Sukcesy japońskich sił zbrojnych zburzyły system władztwa kolonialnego, kształtowany w ciągu kilkuset lat przez Brytyjczyków, Francuzów, Holendrów i Hiszpanów, których miejsce na Filipinach zajęli Amerykanie. Ale z kolei zwycięstwo mocarstw alianckich, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, które niosły tam główny ciężar walk i odpowiedzialności strategicznej, było konieczne dla zniweczenia zamiarów stworzenia swoistej repliki hitlerowskiego *Grossraum* w postaci zbudowanej siłą japońskiego oręża i pozostającej pod japońską hegemonią „Sfery Współrozkwitu Wielkiej Azji Wschodniej”. Zbieżność intencji obu tych koncepcji jest tak uderzająca, że skłania do ujęcia ich w jakąś wspólną formułę. Być może, iż należy w nich widzieć wyrastające na różnym gruncie historycznym zdegenerowane próby rozwiązania wielkich problemów XX wieku, zwłaszcza integracyjnych trendów działających w sferze ekonomiki, realizowane przy pomocy metod łączących średniowieczne przesłanki filozoficzne z nowoczesną techniką i organizacją. Historia dobrze zna powtarzające się wybuchy choroby swoistej *elephantiasis*, tworzenia imperiów, których jedynym spoiwem jest siła i hegemonia jednego narodu. Zna też nieuchronny jej przebieg i rozwiązanie. Dzieje wszystkich epok przenika przecież motyw toczącej się ze zmiennym powodzeniem walki o typ organizacji społeczeństw ludzkich, walki między pierwiastkiem egalitarno-humanistycznym a pierwiastkiem autokratyczno-hierarchicznym, antyhumanistycznym.

Refleksje te zrodziła lektura kilku książek o wojnie na Pacyfiku i Dalekim Wschodzie. Są to — Bernarda Millot, *La guerre du Pacifique*¹, Herberta Feisa, *The Atomic Bomb and the End of the World War II*², Williama Craiga, *La chute du Japon*³ i Johna Keatsa, *Les soldats oubliés de Mindanao*⁴.

Millot, autor dwutomowej *Wojny na Pacyfiku*, nie jest zawodowym historykiem, lecz kartografem i pracownikiem Państwowego Instytutu Geograficznego. Dzieło to, jeśli wierzyć notice wydawnictwa, zabrało mu prawie 20 lat. Autor starał się dać w nim syntezę dziejów tej wojny, „nie tyle francuską, ile europejską”, zmierzając do tego, by „nie pasję swą subiektywną narzucić czytelnikowi, lecz odtworzyć obiektywnie przeciwstawne pasje dwu wielkich mocarstw zwartych w walce”. Czy zapowiedź ta znajduje potwierdzenie w treści książki? W znacznej mierze tak, jednakże nie bez „ale”.

Millot kreśli szeroki i stosunkowo dokładny obraz dziejów wojny na Pacyfiku i Dalekim Wschodzie. W rozdziałach wstępnych pokazuje genezę agresji japońskiej, sięgając połowy XIX w., gdy salwy dział amerykańskich okrętów kmdr. Perry'ego zbudziły japońską „Godzillę”. Otworzyły Japonię dla białego świata, ale też i wyrwały ją

¹ B. Millot, *La guerre du Pacifique*, t. 1 — *Le déferlement Japonais (Dec. 1941 — Oct. 1943)*; t. 2 — *Le raz de merée américain (Oct. 1943 — Sept. 1945)*. Paris, Robert Laffont, 1968 (seria „Histoire que nous vivons”).

² H. Feis, *The Atomic Bomb and the End of the World War II*. Princeton University Press, 1966.

³ W. Craig, *La chute du Japon*. Paris, Robert Laffont, 1969 (tłum. z angielskiego, seria jak wyżej).

⁴ J. Keats, *Les soldats oubliés de Mindanao (L'Aventure vécue du „général” américain Fertig chez les maquisards Philippines, 1941—1945)*. Paris, Robert Laffont, 1965 (tłum. z angielskiego, seria jak wyżej).

z izolacji i zapoczątkowały burzliwy proces modernizacji tego kraju, idący w parze z narastającą ekspansywnością. W kolejnych rozdziałach Millot przedstawia wybuch wojny w rezultacie uderzenia Japończyków na Pearl Harbor, a następnie poszczególne operacje i bitwy, starając się nie tylko odtworzyć i opisać ich przebieg, lecz wyjaśnić motywy zachowania się każdej ze stron, ocenić rezultaty, umiejscowić je w procesie zmiany stosunku sił obu walczących stron. Ten bowiem motyw, motyw narastania potęgi i możliwości USA i wyczerpywania się ich po stronie japońskiej, konsekwentnie, i niewątpliwie słusznie, przenika całe dzieło. Millot preferuje opis działań na szczeblu taktycznym, zajmując się stroną operacyjną w takiej mierze, w jakiej jest to niezbędne dla właściwej orientacji w rozwoju wydarzeń. Można by rzec, że właśnie tu, w zwartej, jasnej, barwnej i nie stroniącej od wstawek anegdotycznych, bogatej w epizody, nazwiska i charakterystyki narracji o tym, co działo się na polu walki czy też raczej na akwenach objętych działaniami bojowymi, autor czuje się najlepiej, ma najwięcej do powiedzenia i potrafi to uczynić w sposób logiczny i plastyczny zarazem. W śledzeniu opowieści niezwykle pomocne są liczne szkice i mapki, bardzo dobrze wykonane zarówno pod względem graficznym, w czym znać chyba rękę autora, jak też w towarzyszącej im legendzie. Jest to luksus, którym wydawnictwa francuskie raczej nie rozpieszczają swych czytelników. Również szczegółowe zestawienie składu i organizacji sił obu walczących stron w ważniejszych operacjach i bitwach ułatwia orientację, pozwala na własne porównania czytelnika, a nawet na śledzenie losów niektórych jednostek. Są to zestawienia sporządzone z dużą ścisłością, przy czym różnice w stosunku do innych prac zajmujących się wyłącznie daną bitwą lub operacją są minimalne. Dotyczy to jednakże sił morskich, w tym lotnictwa morskiego, z wyraźnym brakiem uwagi dla jednostek lądowych i operacji lądowych, o czym niżej.

Aczkolwiek Millot, jak stwierdziliśmy, udziela najwięcej uwagi i miejsca opisowi bezpośredniego przebiegu walk, w tych partiach książki, w których zajmuje się szerszą analizą rozwoju działań, czyni to w sposób przekonujący i nieszablonowy. Bardzo interesujący pod tym względem jest rozdział poświęcony walkom na Guadalcanal. Ta mała wyspa w archipelagu Salomona posiadała pewne znaczenie strategiczne dla działań na Morzu Koralowym, opanowania Nowej Gwinei i ewentualnego uderzenia na Australię, jednakże jej rolę mogło z powodzeniem spełniać kilka innych wysp w tym rejonie. Trwające równo sześć miesięcy (6/7 grudzień 1942 — 7/8 luty 1943) walki, na które złożyły się nie tylko działania jednostek lądowych obu stron na samej wyspie, lecz także co najmniej sześć bitew morskich, przekształciły Guadalcanal w swoisty „Stalingrad Pacyfiku”, zakończony porażką i wycofaniem się Japończyków. Korzystniejszy dla nich bilans walk na morzu przedstawiał się jednakże znacznie gorzej na lądzie i w powietrzu, zaś konieczność opuszczenia wyspy była dla Japończyków dotkliwym szokiem moralnym. Już na Guadalcanal zaznaczyła się ta straszliwa dysproporcja strat w ludziach i samolotach sięgająca 1 : 10 na niekorzyść Japończyków, która miała towarzyszyć im aż do końca.

W analizie poszczególnych operacji i bitew Millot stara się uwzględnić wpływ rozmaitych, pozornie drugorzędnych czynników na kształtowanie się decyzji o strategicznej nawet wadze. I tak np. wskazuje, iż w istocie rzeczy mało znaczący, demonstacyjny rajd lotniczy płk. Doolittle na Tokio (18 kwietnia 1942; start z lotniskowca „Hornet”, lądowanie w Chinach, prototyp operacji „czółenkowych”) przeciał wahania admiralicji japońskiej co do celowości i kierunku wielkiej operacji morskiej większością sił. Poszła ona na Midway, a więc ku klęsce, z której następstw materialnych i psychicznych flota japońska już się nie otrząsnęła. Z drugiej strony ambicja i względy prestiżowe, przede wszystkim gen. Mac Arthura, głównodowodzącego sił zbrojnych

USA na Pacyfiku, zdecydowały o uderzeniu w 1944 r. na Filipiny, podczas gdy o wiele bardziej celowe było zaatakowanie i zajęcie prawie nie obsadzonej wówczas wyspy Iwo Jima. Opanowanie tej wyspy, mającej bardzo ważne znaczenie w dalszych operacjach morskich i lotniczych przede wszystkim przeciw właściwej Japonii, wymagało w kilka miesięcy później 40 dni walk ze stratą blisko 6 tysięcy zabitych i 17 tysięcy rannych oraz poważnych ilości sprzętu. Była to, obok Okinawy, najcięższa i najkrwawiej opłacona przez siły USA operacja tego rodzaju. Również dość częste wśród wysokich dowódców japońskich animozje osobiste bardzo ujemnie odbiły się na przebiegu działań poszczególnych eskadr floty cesarskiej w trakcie operacji „Sho-go” w rejonie Leyte (październik 1944 r.). Jako właśnie francuski, a wcale nie „europejski” historyk Millot widzi przebieg wydarzeń wojennych na sposób Jomirnriegi, dostrzega w nich „zorganizowany chaos”, w którym każda strona działa z olbrzymim marginesem niepewności, każda popełnia masę błędów, zaś wygrywa ta, która robi ich mniej, szybciej je naprawia. Można by tu dorzucić — ta, która posiada większe rezerwy przestrzeni, czasu i środków na to, by je naprawiać, która dysponuje więc większym „marginesem błędów”. W wojnie morskiej jest to szczególnie wyraźnie widoczne. Biada na wojnie temu, kto jest skazany na niepopelnianie błędów!

W ostatnich rozdziałach pierwszego tomu i w drugim tomie Millot opisuje kolejne operacje amerykańskie zmierzające, ruchem konika szachowego, do uchwycenia wysp przekształcanych później w bazy służące blokadzie lotniczej i morskiej, a następnie ofensywie lotniczej na Japonię. Autor w sposób powściągliwy, ale tym bardziej dramatyczny w wymowie przedstawia niezwykle zacięty charakter walk, wywołany przede wszystkim przez straceńczy opór Japończyków. Garnizony poszczególnych wysp z reguły ginęły w walce do ostatniego człowieka. Do niewoli dostawali się niemal tylko ranni. Oficerowie, a zwłaszcza dowódcy garnizonów popełniali rytualne *seppuku*. W niektórych wypadkach dochodziło do makabrycznych wprost scen, do masowych samobójstw, w których ginęła również ludność wysp, jak na Saipanie, gdzie niedobitki oddziałów japońskich rzuciły się ze skał nadbrzeżnych wraz z całą ludnością.

Ciekawa jest próba Millota wyjaśnienia przyczyn niepowodzeń japońskich. Widzi je, co zrozumiałe, przede wszystkim w druzgocącej przewadze potencjału produkcyjnego USA. Pozwolił on doprowadzić stan floty Pacyfiku do 1500 okrętów, w tym 80 lotniskowców różnych klas na jesieni 1944 r., podczas gdy marynarka japońska mogła już tylko liczyć na dopływ małych jednostek i remont większych, była praktycznie pozbawiona lotniskowców, a przede wszystkim unieruchomiona przez głód paliwa, którego dopływ z obszaru południowo-wschodniej Azji został niemal całkowicie przecięty przez blokadę. Millot uważa, że marynarka amerykańska wykorzystała na Pacyfiku doświadczenie wojny podwodnej rozegranej na Atlantyku i osiągnęła jedyne, jak dotychczas, skuteczne sparaliżowanie transportu morskiego przeciwnika przy pomocy okrętów podwodnych. Jednakże obok czysto materialnych, wymiernych czynników tej przewagi autor dostrzega wiele innych, jak szybkość adaptacji sił USA do warunków wojny na Pacyfiku, zdolność wykrywania własnych błędów i usuwania ich, np. w rozgrywaniu nocnych bitew morskich, w których początkowo górowali Japończycy, w użyciu broni torpedowej z okrętów i samolotów i jej doskonaleniu, w szybkim skonstruowaniu samolotów przydatnych do walk na tym teatrze i przewyższających japońskie, zwłaszcza „Lightningów”, które całkowicie zdeklasowały sławne myśliwce „Zero”. Japończycy byli pod tym względem znacznie powolniejsi. Ich dowództwa wykazywały nieelastyczność, niezdolność do szybkiego reagowania na zmianę sytuacji, a także działały często w sposób nieskoordynowany. Zawodziło też ich kierownic-

two strategiczne, na którym ciążył zastarzały konflikt między marynarką a siłami lądowymi. Autor podnosi w wielu miejscach zgubne skutki nadmiernej centralizacji dowodzenia, nawyki „zhierarchizowanego” systemu myślenia, pozostawiającego niewielki margines dla inicjatywy niższych szczebli dowodzenia. Nacisk na zaczepne środki walki spowodował, że środki wykrywania i zwalczania okrętów podwodnych nieprzyjaciela, a także obrony przeciwlotniczej okazały się po stronie japońskiej wysoce niedostateczne, przy czym uważa, że nie należy przeceniać posiadania przez Amerykanów radaru. Pierwsze jego egzemplarze otrzymali Japończycy od Niemców zbyt późno, by zdołali zastosować ten sprzęt na szeroką skalę, jednakże w wielu bitwach morskich potrafili uzyskać przewagę w wykryciu i zniszczeniu przeciwnika wyposażonego w radar. Sztwywność, schematyzm myślenia wojskowej hierarchii japońskiej wystąpił szczególnie silnie w związku ze znaną sprawą zdobycia przez Amerykanów, zresztą całkowicie przypadkowo, klucza do szyfrów, którymi posługiwała się marynarka i dyplomacja japońska. Miano wielu sygnałów wskazujących na to, iż przeciwnik dysponuje nimi, spośród których najtragiczniejsza była zguba adm. Yamamoto, szyfrów tych nie zmieniono aż do końca wojny.

Swoista ideologia armii japońskiej, wyrosła z samurajskich tradycji i powiązana z zasadami religii szintoistycznej, z jej pogardą śmierci, traktowaniem niewoli jako hańby i śmierci cywilnej, gloryfikacją okrucieństwa, prowadziła do wykrwawienia się wojsk japońskich w bezowocnych atakach, do olbrzymich strat w zabitych oraz rannych i chorych, którymi zajmowano się w minimalnym stopniu. Autor wielokrotnie powraca do spraw psychiki Japończyków, zwłaszcza gdy omawia tak specyficzne zjawisko, jakim byli „Kamikaze” w lotnictwie marynarki, „Takobatsu” — w lotnictwie wojsk lądowych, „Kaiten” (żywe torpedy), „Shinyo” (kutry — żywe torpedy) i „Fukuryo” (ludzie-żaby, nurkowie z ładunkami wybuchowymi) w marynarce. Poszukując racjonalnego wytłumaczenia tak irracjonalnego zjawiska Millot upatruje je w atmosferze nieuniknionej klęski i pragnieniu odwrócenia jej, we wspomnianej już ideologii wojskowej, a zwłaszcza pojęciu honoru wojskowego, wreszcie w „zinstytucjonalizowaniu” przez adm. Onishi żywiołowych aktów tego rodzaju ofiarności, które miały przecieć miejsce i w innych armiach walczących w tych latach, przez utworzenie specjalnej jednostki „Kamikaze”. Doprowadziło to do przydzielania u schyłku wojny zadań „specjalnego ataku” w drodze rozkazu, w miejsce dotychczasowych dobrowolnych zgłoszeń. Ów racjonalny wątek dostrzega też autor w stosowaniu szczególnej „ekonomicznej” taktyki użycia „Kamikaze”. Rekrutowano ich bowiem przede wszystkim spośród młodych, słabo wyszkolonych pilotów, wysyłanych na gorszych, a później na specjalnie przygotowanych maszynach. Topniejące szybko kadry doświadczonych lotników używano dla osłony atakujących „Kamikaze”, oszczędzając je dla tej ostatniej, śmiertelnej bitwy, którą zamierzano wydać nieprzyjacielowi lądującemu na wyspach Metropolii. Ogółem 4615 „Kamikaze” i „Takobatsu” dokonało samobójczego ataku na okręty przeciwnika, zadając mu niebagatelne straty materialne i powodując tak silne napięcie psychiczne załóg amerykańskich, że np. w czasie walk o Okinawę zastanawiano się, czy flota wytrzyma je, gdyby miało trwać jeszcze dwa tygodnie.

Jak wskazywaliśmy na wstępie, interesująca próba syntezy dokonana przez Millota nie jest wolna od pewnych „ale”. Wydaje się, że ich istnienie odczuwa się przede wszystkim w sferze społeczno-politycznej, ekonomicznej i strategicznej. Japonia Millota to Japonia jednolita w swej postawie i reakcjach. Nie interesuje autora skomplikowany proces faszyzacji Japonii w okresie trzech kolejnych rządów księcia Konoye przed wybuchem wojny, „glajchsztaltacji” istniejących form organizacji politycznej, zawodowej i gospodarczej społeczeństwa przez zastąpienie ich tworamami

organizacyjnymi ruchu „na rzecz nowej struktury” i „pomocy tronowi”, całkowitego zdominowania życia politycznego kraju przez siły zbrojne, a przede wszystkim generalicję armii lądowej. Tędy bowiem wiodła droga Japonii do tego momentu, w którym mjr Fukuda rzucił nad Pearl Harbor w eter hasło „Tora-tora”⁵.

Praca zyskałaby wiele, gdyby autor w omawianiu tych spraw wyszedł nieco poza militarystyczne aspekty ideologii japońskiej, którą tak chyba trzeba określić, czy też nawet filozofii. Występujące w niej charakterystyczne zasady ułatwiały motywację japońskiej polityki zagranicznej, jej ekspansywność i agresywność. Swoista interpretacja zasad „Hakko Itiu” (świat jak jedna rodzina) i „Kodo” (droga cesarska, jednoś duchowa narodu z cesarzem) służyły do wyprowadzania uzasadnień paternalistycznej na pozór koncepcji „sfery współrozkwitu” (każda rodzina posiada bowiem zhierarchizowaną strukturę) i argumentacji za zawarciem „paktu trzech” (Niemcy i Włochy również dążą do stworzenia nowej struktury współżycia narodów).

Również w analizie zjawisk towarzyszących załamywaniu się Japonii autor dostrzega wyłącznie ścieranie się grup stronników kapitulacji i pragnących walczyć do ostatniego tchu. Millot słusznie stwierdza, iż strategia japońska była strategią „na krótki okres”, lecz prawie nie zajmuje się tym problemem, nie analizuje japońskich koncepcji strategicznych, obliczonych w istocie rzeczy na wymuszenie pokoju na USA w rezultacie zadanych im ciężkich strat w początkowym okresie wojny. Wysuwa wprawdzie szereg pytań, powtarzających się w wielu pracach, w ślad zresztą za tymi, które zadali Amerykanie generałom japońskim po kapitulacji, w rodzaju — dlaczego jednak nie lądowali na Hawajach? dlaczego nie kontynuowali akcji po Midway? dlaczego nie zaatakowali wcześniej Australii? dlaczego nie zaatakowali ZSRR w 1942 r.? itd. Pytania te pozostają jednakże bez odpowiedzi, gdyż odbijają brak koncepcji dalszego działania Japonii po wyjściu jej sił na „wielki perymetr obronny” archipelagów zachodniego Pacyfiku, różnice w widzeniu celów strategicznych między armią (operacje lądowe w Chinach i na kierunku indyjskim) a marynarką (operacje w kierunkach Hawaje — Australia). Marynarka przejawiała zresztą stale znacznie większy umiar od zafascynowanej politycznie i wojskowo Niemcami kadry armii lądowej. Czyżby dawały tu o sobie znać różnice „szkół”, niemieckiej i brytyjskiej, w których wychowywały się w początkowej fazie istnienia kadry obu tych rodzajów sił zbrojnych Japonii?

⁵ Wydaje się, że w literaturze amerykańskiej pojawiają się ostatnio stanowiska i opinie idące bardzo daleko w sympatiach do Japonii czy też zapożyczeniach poglądów japońskich na problemy wojny 1941—1945. Wskazuje na to chociażby artykuł F. S. Misse w „amerykańskim” numerze „Revue d'Histoire de la Deuxième Guerre Mondiale” (1971, nr 82) pt. *Roosevelt et le Département d'Etat*. Autor obciąża winą za załamanie się negocjacji amerykańsko-japońskich w 1941 r., których sondażowo-maskujący charakter ze strony japońskiej, a prawdopodobnie i amerykańskiej, nie ulega wątpliwości, właśnie dyplomację USA. Uważa on, że obarcza ona przede wszystkim ówczesnego sekretarza stanu Cordell Hulla, któremu Roosevelt powierzył prowadzenie tych negocjacji, ten zaś „trzymał się linii postępowania tak sztywnej i tak mentorskiej, że faktycznie przyparł Japończyków do muru (*les mit au pied du mur*). Ostateczna odpowiedź Japończyków na pouczenia Hulla została udzielona w Pearl Harbor” (s. 14). Wspomniana tendencja w jakiejś mierze koresponduje z występującym w brytyjskiej literaturze nasileniem się krytycznych ocen Churchilla i jego polityki wobec Niemiec. Kwestionuje się m. in. wyłączną słusność jego stanowiska, zwłaszcza wobec taktyki *appeasement*, którą ocenia się jako w pełni równorzędny wariant polityki brytyjskiej — nie zasługujący na jednostronne tylko potępienie. Przypadek, przelotne zjawisko czy też przejaw głębszych, przewartościowujących procesów w historiografii obu krajów?

Wspomniane już wyżej zalety autora w opisie przebiegu operacji i bitew morskich przybliżają do czytelnika obraz tej wojny, tak różnej od europejskiej, wojny marynarki i lotnictwa, bitew staczanych „spoza horyzontu”, w których każda ze stron traciła do 500 samolotów w ciągu kilku czy kilkunastu godzin, operacji desantowych angażujących wszystkie rodzaje wojsk itp. Jednakże zbyt mało uwagi poświęca autor działaniom lądowym na kontynencie azjatyckim. Epizodyczne raczej działania partyzantów brygadiera Wingate'a w Burmiej zajmują znacznie więcej miejsca aniżeli walki w Chinach, w tym ofensywa japońska w latach 1944 i 1945, zmierzająca do stworzenia jednolitego obszaru komunikacyjnego od Mandżurii do Singapuru, co pozwoliłoby skompensować w jakiejś mierze skutki blokady morskiej. Wojna na Pacyfiku rozgrywała się nie tylko w bitwach, lecz także w produkcji przemysłowej i szczególnie istotnej dla tak wielkich obszarów sferze organizacji przewozów, zaopatrzenia i ewakuacji, w tym wszystkim, co określa się jako „żywienie wojny” lub bardziej modnie jako — logistykę. O tych sprawach Millot niewiele ma do powiedzenia.

Poza zainteresowaniami Millota znajdują się również problemy związane z tworzeniem przez Japończyków owej „sfery współrozkwitu”, zwłaszcza po podjęciu przez nich, po klęskach przy Midway i na Guadalcanal, „nowej polityki” obliczonej na pozyskanie ludności podbitych obszarów. Symptomatyczne było tu zwłaszcza „usamodzielnienie” rządu Wan Tsin-wei'a, chińskiego prekursora Quislinga i Vichy, ogłoszenie niepodległości Burmy itp. Ponieważ autor nie zajmuje się w ogóle japońską polityką okupacyjną, nie znajdujemy też u niego, poza drobnymi wzmiankami, żadnych informacji o walce wyzwoleńczej narodów obszarów podbitych, o partyzantce w Indonezji, na Filipinach, a przede wszystkim w Chinach. W sumie więc, ten tak interesująco odmalowany obraz wojny na Pacyfiku ma istotne luki i skrzywienia. Ich charakter nie wskazuje na przypadek, lecz raczej na świadomy wybór autora. Millot należy też do tych zachodnich historyków wojny na Pacyfiku, którzy krytykują politykę Roosevelta zmierzającą do pozyskania udziału ZSRR w wojnie przeciw Japonii. Uważają oni, że posiadanie bomby atomowej dawało USA możliwość rozstrzygnięcia jej bez uciekania się do jakichkolwiek innych środków, zwłaszcza że kraj ten został już doprowadzony do progu załamania się przez skutki kierowanej przez gen. Courtiss le Maya ofensywy lotniczej. Jeden tylko marcowy nalot B-29 na Tokio przyniósł bowiem o wiele wyższe straty w ludziach aniżeli bomba atomowa w Hiroszynie. Takich, i to wielokrotnych nalotów doznały wszystkie niemal większe miasta i ośrodki przemysłowe Japonii.

Praca Millota jest nieźle ilustrowana, aczkolwiek materiał zdjęciowy rzadko tylko wybiega poza szablonową tematykę. Można by życzyć sobie w tego typu dziele próby dokumentalnego, a nie tylko ilustracyjnego potraktowania fotografii. Autor, zwyczajem francuskim, nie obciążał tekstu odnośnikami i odsyłaczami, ograniczając się jedynie do wyselekcjonowanej bibliografii, obejmującej prace publikowane i czasopisma. Odczuwa się duży brak indeksów osobowych i nazw geograficznych.

Feis i Craig zajmują się pozornie tym samym kręgiem tematycznym — kompleksem wydarzeń i problemów wiążących się z upadkiem Japonii. Obaj są historykami amerykańskimi. Obaj przyjmują za punkt wyjścia katastrofalną sytuację, w jakiej znalazła się Japonia na początku 1945 r., również w związku z załamaniem się, a następnie kapitulacją Niemiec. Napisali jednakże książki bardzo różne, chociaż może właśnie dlatego wzajemnie uzupełniające się. Dla Feisa, przedstawiciela starej szkoły uniwersyteckiej, absolwenta Harvardu z początku lat dwudziestych, wykładowcy na tymże uniwersytecie, a także na uniwersytecie w Kansas i Cincinnati, na przestrzeni kilkudziesięciu lat powiązanego w rozmaitym charakterze z amerykańską dyplomacją, autora szeregu cennych prac historycznych, drukowa-

nych głównie w Princeton University Press⁶, historia upadku Japonii rozgrywa się niemal wyłącznie w rozważaniach, konfliktach i decyzjach wąskiej warstwy ludzi rozstrzygających o losach obu krajów. Nie są to tylko politycy i wojskowi. Feis szeroko traktuje o postawie naukowców wobec problemu użycia bomby atomowej, zwłaszcza gdy wobec załamania się Niemców stało się jasne, że dotyczyć to już może tylko Japonii. Można by rzec, że Feisa interesują bardziej stanowiska, koncepcje, decyzje, aniżeli ci, którzy je wyrażają i podejmują.

Dostępny nam amerykański *Who is who?* nie poświęca Craigowi ani wiersza, nie możemy więc ustalić, czy istnieją jakieś powiązania koncepcji autora z jego wiekiem, dotychczasową twórczością czy też działalnością. Możemy tylko ze sposobu potraktowania tematu i stylu wnioskować, że swobodniej czuje się w pisarstwie reporterskim aniżeli w tradycyjnie rozumianym dziejopisarstwie. Craiga interesują zasadnicze decyzje, ale przede wszystkim ludzie, którzy je podejmują i wcielają je w życie na rozmaitych szczeblach stawania się historii, ich sposób postępowania, namiętności, uprzedzenia, przeżycia. Feis jest konsekwentny i zdyscyplinowany w rozwijaniu swych wywodów i przestrzeganiu obranej konstrukcji, w której rozdziały syntetyczne ustępują miejsca przedstawiającym dzień po dniu rozwój dramatu japońskiego w okresie konferencji poczdamskiej oraz ataku atomowego i kapitulacji. Koncentruje się też przede wszystkim na działalności strony amerykańskiej, w której rękach znajdowały się główne dźwignie wydarzeń. Craig jest daleki od trzymania się jakiegś chłodno wyważonej konstrukcji, zakładającej prezentację faktów według założonego układu (Amerykanie, Japończycy, inni, w tym zwłaszcza strona radziecka), ich analizę, ocenę, wnioski własne historyka, jak to czyni Feis. Chodzi mu przede wszystkim o wielopłaszczyznowość obrazu. Najlepszą, najbardziej jednolicie utrzymaną w narracji i najbardziej interesującą część swej książki poświęcił Craig stronie japońskiej, wprowadzając nas nie tylko do osłoniętej grubą warstwą betonu sali posiedzeń Rady Cesarstwa w podziemiach jednego z budynków pałacowych, ale też i do domów dowódców, polityków i oficerów, do szpitali Hiroszimy i Nagasaki. Feis oparł się na publikowanych lub udostępnionych mu archiwaliach, monografiach, pamiętnikach. Craig wyzyskał je również, ale w najszerszym stopniu posłużył się relacjami i wspomnieniami, w tym dużej liczby polityków, generałów i oficerów japońskich. I to właśnie stanowi główny walor jego książki.

Przejdźmy teraz do bliższego omówienia każdej z tych książek.

Praca Feisa stanowi drugą, rozszerzoną wersję wydanej wcześniej *Japan Subdued*⁷. Autor rozpoczyna ją od analizy kilku możliwych wariantów zakończenia wojny z Japonią:

- a) przez uderzenie siłami konwencjonalnymi; należało wybrać między zasadą pośredniego (np. obszar Chin) lub bezpośredniego działania (sama Japonia, Tokyo);
- b) środkami politycznymi, przez wpływ na środowiska umiarkowane, przede wszystkim skupione wokół dworu cesarskiego, działając zarówno perswazją, jak też groźbą zniszczenia Japonii, wykorzystując tu zarówno zapowiedź inwazji na wyspy, jak też zastosowanie broni atomowej i nieuniknione przystąpienie do wojny ZSRR;
- c) przez uderzenie atomowe.

⁶ Wymienimy tu tylko kilka — *The Road to Pearl Harbor. The Coming of the War between the United States and Japan*. Princeton Univ. Press, 1950; *Churchill, Roosevelt, Stalin. The War They Waged and the Peace They Sought*. Princeton Univ. Press, 1953; *Between War and Peace. The Potsdam Conference*. Princeton Univ. Press, 1960; *Foreign Aid and Foreign Policy*. New York 1964.

⁷ H. Feis, *Japan Subdued. The Atomic Bomb and the End of the War in the Pacific*. Princeton University Press, 1961.

W pierwszym wypadku problem sprowadzał się do posiadania odpowiedniej masy wojsk inwazyjnych, wspartych przez lotnictwo i marynarkę, oraz do długo-trwałości walk i przewidywanych rozmiarów strat. W drugim chodziło o kwestię utrzymania lub też niezadania bezwarunkowej kapitulacji oraz o zasady polityki wobec pokonanej Japonii, przede wszystkim o utrzymanie lub nieutrzymanie narodowej i państwowej osobowości Japonii, której wyrazem była instytucja i osoba cesarza. W trzecim, który pojawił się stosunkowo najpóźniej, należało wybrać między uderzeniem demonstracyjnym, nie pociągającym strat ludzkich, lecz obiecującym spowodować pożądaną reakcję psychiczną kierownictwa japońskiego, a uderzeniem bojowym, obliczonym na wyrządzenie nieprzyjacielowi maksymalnych strat ludzkich i materialnych, na zniszczenie jego morale. Feis przedstawia dzieje kształtowania się decyzji w tej postaci, w jakiej została ona zrealizowana. Wiele miejsca i uwagi poświęca poglądom tych ludzi, którzy jak Stimson starali się wpłynąć na ustalenie zasad postępowania wobec Japonii możliwie najdalej idących w szukaniu płaszczyzny porozumienia i ułatwienia jej zawarcia pokoju. Szeroko omawia też stanowisko środowisk naukowych związanych z realizacją „Manhattan Project”, zwłaszcza zespołu pracującego w laboratoriach w Chicago z prof. Leo Szillardem na czele, które niezwykle aktywnie występowały przeciw bojowemu użyciu broni atomowej. Feis omawia i cytuje obszernie fragmenty memoriałów, które ukazywały, niemal proroczo, zgubne skutki, jakie musi wywołać jej użycie i utrzymanie tajemnicy produkcji na atmosferę międzynarodową, a szczególnie na stosunki ze Związkiem Radzieckim. Feis przyznaje bowiem, że implikacje posiadania i użycia broni atomowej przez USA w sferze ich stosunków z ZSRR uświadamiano sobie w kierowniczych kołach Stanów Zjednoczonych dość wcześnie. Wskazuje przy tym na wpływ, jaki miały na ten kierunek myślenia polityków amerykańskich problemy polskie, podkreśla narastające ich oddziaływanie, od kompleksu spraw wynikłych wokół powstania warszawskiego po wyniki pojałtańskich pertraktacji dyplomatycznych i sytuację w Polsce w 1945 r. Temat ten wraca stale, w rozmaitych kontekstach rozważań Feisa, doprowadzając do wniosku, że w kwestii użycia broni atomowej zaangażowane były nie dwie tylko strony: USA i Japonia, lecz trzy. Tą trzecią był Związek Radziecki. Był nią jako ewentualny pośrednik w pertraktacjach pokojowych, ku czemu zmierzały gorączkowe, a później wprost rozpaczliwe, oparte na złudzeniach zabiegi Japonii, nie zniechęconej wypowiedzeniem przez ZSRR traktatu z 1941 r. Był nią jako to państwo, przed którym przede wszystkim starano się ukryć tajemnicę prac nad bronią atomową, a następnie tajemnicę jej produkcji. Był nią wreszcie jako przyszły potencjalny przeciwnik, z czym liczone się już od 1944 r.

W końcowych, najciekawszych może, gdyż prezentujących poglądy Feisa jako historyka, ale też byłego wysoko uplasowanego funkcjonariusza państwowego, partiach książki autor zastanawia się nad tym, czy i w jakiej mierze bardziej szczerą polityką wobec ZSRR w związku z bronią atomową mogła dać lepsze rezultaty. Sądząc z kierunku wywodów i argumentacji podziela on w znacznej mierze opinię Stimsona, wyrażoną w memorandum dla Trumana (12 IX 1945), iż udostępnienie ZSRR doświadczeń amerykańskich obiecywało więcej korzyści aniżeli strat. Wiadomo było bowiem, że kraj ten uczyni wszystko, ażeby zapewnić sobie równorzędność w tak doniosłej dziedzinie. A więc uzyskanie informacji od USA nieznacznie tylko wpłynęłoby na zmniejszenie „luki atomowej”, natomiast niewątpliwie sprzyjałoby wytworzeniu się znacznie lepszej atmosfery w stosunkach ZSRR z jego zachodnimi aliantami wojennymi.

Przewodnim motywem książki jest niewątpliwie dylemat, przed którym stało kierownictwo polityczne USA latem 1945 roku, dyskutowany zresztą do dziś, czy dla

zmuszenia Japonii do kapitulacji użycie broni atomowej było nieuniknioną koniecznością, czy też nie? W USA doskonale orientowano się w sytuacji, w jakiej znajdowała się Japonia, zwłaszcza w następstwie wyniszczających nalotów B-29. Znajomość japońskiego szyfru dyplomatycznego dawała kierownictwu USA dostęp do informacji o położeniu Japonii i jej zabiegach o pośrednictwo ZSRR, i to dostęp u samego niemal źródła. Ale wiedzano też, chociaż znacznie mniej, o walce, która rozgrywała się na szczytach japońskiej hierarchii wojskowej i politycznej między zwolennikami poddania się a jej przeciwnikami. Takich ludzi, jak premier Suzuki czy też minister spraw zagranicznych Togo, ci ostatni zmuszali groźbą zamachu stanu i wprost likwidacji fizycznej „kapitulantów” do ostrożności i lawirowania. Feis stawia wprawdzie pytanie, czy jaśniejsze postawienie np. w Deklaracji Poczdamskiej w sprawie Japonii obietnicy zachowania dynastii i „narodowej godności” (*national polite*) nie przyspieszyłyby kryzysu politycznego wśród „góry” japońskiej, dając przewagę skupionym wokół cesarza Hirohito zwolennikom pokoju, jednakże nie udziela tu jasnej odpowiedzi, skłaniając się raczej ku sceptycyzmowi. W swych ogólnych wnioskach autor sądzi, że najbliższa prawdy jest ocena sformułowana przez badających szczegółowo tę kwestię autorów raportu nr 62 „US Strategic Bombing Survey”. „Zapewne wcześniej aniżeli 31 grudnia 1945 r. — stwierdzili oni — a z dużą pewnością wcześniej niż 1 listopada 1945 r. Japonia powinna była poddać się, nawet jeśli by nie zrzucano bomby atomowej, nawet gdyby Rosja nie weszła do wojny i nawet jeśli by nie planowano i nie przewidywano żadnej inwazji”.

Konsekwencja i znaczna uczciwość w stawianiu pytań i problemów jest bardzo dużą zaletą pracy Feisa, co należy odnotować niezależnie od naszej opinii o udzielanych na nie przez autora odpowiedziach. Do takich należy m. in. pytanie, czy użycie bomby atomowej, nie będąc konieczne, było usprawiedliwione? Przytaczając rozmaite argumenty za i przeciw autor daje przewagę tym, które utrzymywały, że było ono konieczne dla zmniejszenia strat amerykańskich i przyspieszenia kryzysu politycznego w Japonii. Wskazuje przy tym, że dla doprowadzenia do tego nie wystarczyła nawet Hiroszima, że dopiero po Nagasaki i przystąpieniu do wojny ZSRR wytworzyła się sytuacja, która wbrew wielowiekowej tradycji pozwoliła na zdecydowaną interwencję cesarza i narzucenie przezeń decyzji o kapitulacji. W osobistych wnioskach wyraża bardzo ostrożną opinię, że bomba atomowa była od samego początku przeznaczona do użycia bojowego, nie było więc żadnych przeciwwskazań, by to uczynić, nie ma też powodów, by akt ten potępić. Ale też, sądzi, gdyby Japonię wcześniej ostrzeżono, być może nie zmieniłoby to ogólnego biegu wydarzeń, lecz „my [Amerykanie] jako naród moglibyśmy być bardziej wolni od żalu, nie chcąc przez to powiedzieć, że i od wyrzutów sumienia, z powodu konieczności wpisania Hiroszimy i Nagasaki do roczników historii”. Czy jednak ta usprawiedliwiająca teza nie pozostaje w sprzeczności z relacjonowaną wyżej tezą o nieuchronnej i bliskiej już kapitulacji Japonii?

W relacji Feisa uderza nie sformułowana wprawdzie *expressis verbis*, lecz niemniej wyraźna dramatyczna dysproporcja między powagą decyzji, jaka stanęła w 1945 r. przed kierownictwem USA, a jego kompetencjami i zdolnościami objęcia wyprzedzającą analizą nieuniknionych implikacji tej decyzji. Według autora w rozstrzygających rozważaniach na stanowisku Trumana zaważyły nie opinie naukowców, a nawet szeregu ministrów i wojskowych amerykańskich, lecz zdanie Churchilla, ten zaś ze swej strony mniemał, że bomba atomowa pozwala zakończyć wojnę szybko i, co szczególnie istotne, „bez pomocy Rosjan”, o którą przecież Amerykanie dotąd zabiegali tak usilnie, iż gotowi byli do daleko idących koncesji w innych drażliwych regionach. Jeszcze większym pesymizmem napawa nakreślony przez

autora obraz automatycznego działania raz uruchomionego przez powziętą decyzję mechanizmu, którego kolejne elementy włączane są przez coraz niższe szczeble. Powściągliwie w słowach, lecz niedwuznacznie w treści demaskuje Feis nieprawdziwe przedstawienie kwestii momentu i formy podjęcia ostatecznej decyzji przez Trumana w jego pamiętnikach i przez Morisona w jego oficjalnej historii wojny na Pacyfiku⁸. Rozkaz użycia bomby atomowej zawierała bowiem dyrektywa dla gen. Spaatsa z 25 lipca 1945 r. Ona właśnie uruchomiła ów mechanizm, w którym już tylko upływ terminów, sytuacja atmosferyczna i stan widoczności decydowały o losach umieszczonych na liście celów miast i ich mieszkańców, mechanizm, który „tylko niezwykle zdecydowany i odważny akt woli, w rodzaju rzadko odnotowywanych przez historię, był w stanie powstrzymać”. Natomiast Truman i za nim Morison sugerują, iż rozkazy wydano znacznie później, z pokładu krążownika „Augusta”, rzekomo już po odrzuceniu przez Suzuki alianckiego ultimatum zawartego w Deklaracji Poczdamskiej. Taka właśnie ocena oświadczenia premiera Japonii opierała się na interpretacji wieloznacznego terminu japońskiego *mokusatsu*, który można rozumieć zarówno jako odmowę przyjęcia propozycji, jak też jako ewentualną gotowość jej rozważenia. Historia zna niewiele wypadków, by dowolność w przetłumaczeniu jednego słowa była tak fatalna w skutkach.

Spośród wielu wątków tematycznych zawężających się wokół sprawy użycia broni atomowej i kapitulacji Japonii, kończącej II wojnę światową, a przewijających się przez pracę Feisa, warto odnotować jeszcze te, które odnoszą się do przystąpienia ZSRR do wojny na Dalekim Wschodzie oraz łączących się z tym kwestii rozbrajania armii japońskiej i kontrowersji wokół zasad okupacji Japonii. Stany Zjednoczone dały do zrozumienia wszystkim aliantom w sposób graniczący z brutalnością, że nie zrezygnują z wyłącznego prawa do decydowania o losach Japonii i odrzuca wszelkie rozwiązania wielostronne w rodzaju zastosowanych wobec Niemiec i Austrii. W kwestiach tych autor wyraźnie nieprzychylnie komentuje stanowisko radzieckie, czyni to jednak na ogół spokojnie i powściągliwie.

Wydaje się, że wśród obfitej literatury zachodniej, poświęconej tematowi bomby atomowej i upadku Japonii, praca Feisa odznacza się powagą, umiarem i wnikliwością analizy. Zawiera ona bowiem nie tylko bogatą i ciekawą warstwę informacyjną. Jest także swoistym przewodnikiem po problemach tematu, daje przegląd, a czasami i bardziej pogłębioną charakterystykę postaw wielu czołowych polityków amerykańskich tego okresu, czasami zaskakującą w porównaniu ze znanymi nam z lat późniejszych, jak np. Achesona. Na marginesie można by tu zauważyć, że Feis wyraźnie obdarza szczególną sympatią Stimsona. Cytując lub komentując jego poglądy i działalność Feis stara się przedstawić go w możliwie najkorzystniejszym, to znaczy w miarę liberalnym świetle. Przytacza nawet historyjkę, niewątpliwie autentyczną, o ingerencji sekretarza wojny na rzecz skreślenia z listy celów dla bomby atomowej Kyoto, starej stolicy cesarstwa. Przypadkowo zasłyszane, pełne zachwyty opowieści weekendowego gościa, orientalisty, kolegi jego syna, o skarbach sztuki znajdujących się w tym mieście uratowało je dla Japonii i świata. Czy jednak w tej przychylności dla Stimsona lojalność wobec szefa z lat wojny i pamięć o nim nie przeważała nad obowiązkami historyka? Trudno to orzec.

Jakież nowe informacje, w porównaniu z Feisem, zawiera książka Craiga? W czym ją uzupełnia lub prostuje? Do ciekawych, aczkolwiek zapewne nie najdośćszych pod względem wagi, należą relacje o próbach nawiązania dialogu japoń-

⁸ S. E. Morison, *History of the United States Naval Operation in World War II*, t. 1, 2. Boston 1960, 1963.

sko-amerykańskiego wiosną 1945 roku. W jednej z nich inicjatywa wyszła od kdr. Fujimury, przybyłego do Berna z atakowanego już Berlina, gdzie był członkiem japońskiego attachatu. Nawiązane przezeń kontakty ze szwajcarską centralą OSS nie uzyskały jednakże ostatecznej aprobaty Tokio i pozostały bez skutków. Nieco więcej powodzenia mieli amerykańscy oficerowie wywiadu, wieloletni mieszkańcy Japonii — kdr. Zacharias i płk Mashbir, którzy swe szerokie znajomości wśród generalicji, polityków i arystokracji japońskiej starali się wykorzystać w specjalnych audycjach propagandowych z Waszyngtonu i Manilli. Został więc tą drogą przerzucony swoisty pomost informacyjny wiodący do najwyższych szczebli hierarchii japońskiej. W audycjach po angielsku z Tokio uzyskano pośrednie i bezpośrednie potwierdzenie odbioru sugestii amerykańskich wraz z wysunięciem własnych. I tu jednakże atmosfera strachu przed reakcją fanatycznego oficerstwa, paraliżująca poczynania tokijskich zwolenników zakończenia wojny, nie pozwoliła na rozwinięcie się dialogu.

Craig sięga też do innych wątków. Jednym z nich są przeżycia amerykańskich jeńców, głównie lotników, w japońskich obozach, traktowanych tam z niezwykle okrucieństwem. Opowiada o straceniu członków załóg zбитych B-29 w obozie Fukuota w dniu kapitulacji Japonii, o operacjach grup OSS mających na celu okazanie pomocy alianckim jeńcom w obozach rozrzuconych po obszarach Chin, Mandżurii, na Hainanie. To właśnie w jednej z akcji OSS, lecz tym razem nacelowanych na rozpoznanie zgrupowań Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, zginął kpt. John M. Birch, rozstrzelany przez partyzantów chińskich w następstwie świadomie sprowokowanego przezeń konfliktu, późniejszy patron „John Birch Society”. Nie brak również u Craiga i anegdotycznych historii, jak np. o por. Mc Dilda, strąconym lotniku amerykańskim, którego uratowała od losu jego kolegów z Fukuota zmyślona opowieść o... bombie atomowej, podana w czasie połączonych z torturami badań po Hiroszimie. O rzeczywistym istnieniu bomby „A” nie miał on zresztą pojęcia. Na uwagę zasługuje bardzo szczegółowa relacja o doborze, składzie i przygotowaniu 509 specjalnej „grupy mieszanej” przeznaczonej dla dokonania rzutu bomb atomowych na Japonię oraz o przebiegu obu misji, na Hiroszimę i Nagasaki, którego los przesądziły chmury utrudniające celny rzut na główny cel — Kokura.

Do najciekawszych dla czytelnika należą niewątpliwie te rozdziały książki Craiga, które rozwijają przed jego oczyma dramatyczny obraz walki toczącej się w kierownictwie japońskim wokół sprawy kapitulacji. Kolejne posiedzenia Rady Cesarskiej, toczące się w gęstniejącej atmosferze obaw przed reakcją armii, ale i niepewności co do zachowania się społeczeństwa, zwłaszcza robotników, taktyka premiera Suzuki, lawirującego ażeby nie dać otwartego pretekstu do puczu wojskowego, którego skutków doznał w 1936 r., gdy tylko przytomność żony uratowała go, rannego, od dobiecia przez oficerów-zamachowców, akcja ministra spraw zagranicznych Togo, poczynania kół pałacowych i samego Hirohito zmierzające do przełamania oporu wojskowych fanatyków, wreszcie ostatecznie, decydujące posiedzenie, na którym cesarz, łamiąc tradycję, narzucił swą wolę opornej części Rady, wszystko to ukazuje Craig z talentem. Czyni to przy tym w sposób żywy, przedstawiając poczynania konkretnych ludzi łącznie z ich osobowością, pobudkami, uczuciami, starając się przybliżyć właściwe psychice Japończyków, zwłaszcza ich wojskowej kaście, motywy postępowania. Czytelnik oddycha niemal parnym i dusznym powietrzem sierpniowym, wypełniającym tokijskie gabinety i z trudem przenikającym do sali konferencyjnej — schronu w pałacu cesarskim, nasyconym groźącymi wybuchem namiętnościami politycznymi.

Craig niewątpliwie upraszcza sprawę, przypisując zamachowcom wojskowym, porównywanym do „młodoturków”, jedyną odpowiedzialność za tę drogę, którą przebyła Japonia od incydentu na Południwomongolskiej Linii Kolejowej do Pearl

Harbour, a następnie Hiroszimy i Nagasaki. Wywierając bowiem przemożny nacisk, poparty fizycznym terrorem, na kształtowanie się polityki cesarstwa, armia realizowała nie tylko własne interesy. Ale w tych dniach sierpniowych Tokio jeszcze raz przeżyło próbę zamachu stanu zorganizowanego przez oficerów ministerstwa armii lądowej. Nie poparty przez generałów zamach wylał się w serię terrorystycznych aktów, w tym też dokonywanych na terenie budynków i ogrodów pałacowych, którym towarzyszyły zabójstwa, podpalanie domów „kapitulantów”, sceny krańcowej rozpacz i nie mniej krańcowego kabotynizmu. Znajdujemy tu m. in. wyjaśnienie cytowanej i przez Feisa informacji o radiowym apelu gen. Anami do wojsk japońskich, nakazującym dalszą walkę. Był on w istocie dziełem zamachowców, którzy za wszelką cenę usiłowali zerwać wykonanie decyzji o kapitulacji, m. in. starając się, na szczęście bez skutku, zdobyć i zniszczyć płytę z manifestem cesarza zanim jego słowa pójdą w eter. Jesteśmy też świadkami misji gen. Kawabé do Manilli, w czasie której uregulowano wstępne zasady okupacji Japonii, a następnie lądowania pierwszych oddziałów amerykańskich w ogarniętej buntem *kamikaze* bazie Atsuga, powitanych przez jej dowództwo oraz... radzieckiego attaché wojskowego, wjazdu gen. Mac Arthura do Tokio i chaosu pierwszych dni okupacji. Wydarzeniom tym towarzyszy seria samobójstw: ministra armii lądowej gen. Korechiko Anami, gen. Tanaka, marszałka Sigiya, gen. Tojo „architekta wojny na Pacyfiku”, gen. Zugaki, twórcy *kamikaze* adm. Onishi i wielu innych. Autor nie szczędzi tu czytelnikowi drastycznych szczegółów, od postawy niektórych żon generałów i oficerów zmuszających swych mężów do samobójstwa, reagujących historyczną pogardą na odmowę, płynącą wraz z nimi od obrzędowego sztyletu, do makabrycznych scen, jakie towarzyszyły samobójstwu Tojo, konającemu wiele godzin przed oczyma tłumy amerykańskich dziennikarzy i reporterów filmowych, ustawiających dyszącego jeszcze denata w pozy najbardziej „fotogeniczne”. Dla przeciwwagi Craig opowiada też o historycznej radości, przeradzającej się w rozpasanie i gwałty, z jaką przywitano w niektórych miastach amerykańskich, a zwłaszcza w San Francisco, ogłoszenie końca wojny z Japonią.

Złożona z serii powiązanych tematycznie, lecz w dużej mierze samodzielnych relacji książka Craiga nie jest pracą historyczną w tym sensie, w jakim jest nią np. dzieło Feisa. Jest to reportaż historyczny napisany z użyciem właściwych dla tego rodzaju twórczości ujęć, jeśli nie rzecz — chwytów i stylu. Trudno byłoby też posądzić Craiga o słuzenie zasadzie *sine ira et studio*, o pozory liberalizmu. Tam, gdzie dotyka on spraw odnoszących się do Związku Radzieckiego, wyraża swą niechęć w sposób całkowicie bezpośredni. Jednakże właśnie w tendencyjności, a w pierwszym rzędzie w obfitości szczegółów, często drobnych, ale też i bardziej istotnych, w odtworzeniu atmosfery wydarzeń, w charakterystykach postaci, a więc w tym wszystkim co tak trudno jest oddać autorowi zobiektywizowanej monografii, tkwi atrakcyjność książki Craiga. I w tym właśnie znaczeniu odnotowujemy ją jako zasługującą na uwagę i interesującą uzupełnienie takich akademickich prac, jak *The Atomic Bomb and the End of the World War II* Feisa.

Książka Keatsa dotyczy mało znanego fragmentu dziejów wojny na Pacyfiku, antyjapońskiego ruchu partyzanckiego, który rozwinął się samorzutnie na Mindanao — drugiej po Luzon wyspie Filipin. Klęskę wojsk amerykańskich i nielicznych jednostek filipińskich wypunktowały dwa, jakże odmienne wydarzenia: ewakuacja, ażeby nie powiedzieć ucieczka gen. Mac Arthura do Australii, z jego słynnym później „Wróć tu jeszcze!” i „marsz śmierci” kilkudziesięciu tysięcy jeńców amerykańskich przez półwysep Bataan. Z głodu, wycieńczenia, od chorób, kul i bagnetów wartowników japońskich zginęło wówczas około 10 tysięcy ludzi. Bezgrani-

czna pogarda i okrucieństwo wobec jeńców były bowiem powszechnym i normalnym zjawiskiem w armii japońskiej, której ideologia nie uznawała pojęcia niewoli, poddanie się traktowała jako najgorszą hańbę, jeńca obcego — jako tchórza niegodnego cienia szacunku, zaś własnego żołnierza, gdyby złożył broń, jako zdrajcę i pozornie tylko żyjącego trupa. D. H. James, Anglik, który większą część życia spędził wśród Japończyków i Chińczyków i sam był jeńcem, stwierdza, że nigdy nie zdarzyło mu się spotkać żołnierza japońskiego, niezależnie od rangi, pochodzenia i wykształcenia, który by chociaż grymasem niesmaku zareagował na najbrutalniejsze okrucieństwo wobec bezbronnego jeńca, cywila, kobiety, dziecka⁹.

Tragedia Bataan i przeżycia jeńców amerykańskich na Filipinach stanowią jednakże tylko drobny, marginesowy fragment wstępnej partii książki Keatsa. Pokazuje on w niej przede wszystkim tych nielicznych wojskowych amerykańskich, a także cywilów, którzy nie pogodzili się z perspektywą niewoli i szukali w pierw szych schronienia, a następnie sposobów walki. Do nich właśnie należał inżynier górnik, od wielu lat mieszkający na Filipinach, W. Fertig, po mobilizacji — podpułkownik saperów. Ewakuowany z Corregidoru na Mindanao, po kapitulacji gen. Wainwrighta (o jego poszukiwaniach przez ekipy OSS i wydobyciu z niewoli w 1945 r. ciekawie pisze Craig) Fertig poszedł w dżunglę. Tam natrafił na grupę czujących podobnie jak on oficerów, podoficerów i szeregowców amerykańskich, z którymi rozpoczął walkę partyzancką przeciw Japończykom.

Keats traktuje swój temat w sposób zbliżony do Craiga. Książka jego zawiera znacznie więcej cech opowieści literackiej aniżeli pracy historycznej i jest zbliżona do tego *genre'u* pisarstwa historycznego, w którym u nas celuje Melchior Wańkowicz. To wcale nie umniejsza jej wartości, zwłaszcza dla czytelnika, dla którego każdy szczegół opisu wyspy, jej ludności, podziałów plemiennych, rasowych, społecznych, religijnych, obyczajów, charakterystyk postaci pozwala wejrzeć w zupełnie nowy, tak odmienny świat. Jednakże śledząc wraz z autorem perypetie dzielnego i pomysłowego człowieka, a takim był niewątpliwie Fertig, odnosimy dwojakie wrażenie. Pierwsze i najsilniejsze wywołuje w nas właśnie owa egzotyka, wszystko to, co różni warunki życia i walki partyzanckiej na Mindanao od tych, które uważamy za normalne w naszych szerokościach geograficznych. Lecz gdy już oswoimy się z topografią wyspy, z zamieszkującymi ją plemionami i ich wzajemnymi stosunkami, z zaskakującą rolą resztek starej, kreolskiej w gruncie rzeczy arystokracji hiszpańskiej, ze skomplikowaną postawą ludności wobec Japończyków, a zwłaszcza części tzw. *ilustrados* (inteligencji), burżuazji i biurokracji filipińskiej, odnajdujemy nagle cechy i prawidłowości rozwoju podziemia, a zwłaszcza partyzantki na Mindanao, tak dobrze nam znane ze stosunków europejskich. W początkowym okresie Fertig i jego ludzie byli zdani całkowicie na własne siły. Samozwańcza nominacja na generała (ileż takich nominacji znają dzieje europejskich ruchów partyzanckich!) miała mu zapewnić autorytet wśród innych dowódców grup partyzanckich i, co ważniejsze, ludności. Jego pierwsze depeche wysłane przez nadajnik amatorskiej roboty, przechwycone wreszcie w San Francisco, zostały uznane za prowokację i pozostawione bez odpowiedzi. Fertig znalazł się w niezwykle dwuznacznej sytuacji, grożącej „utrata twarzą” i autorytetu. Trzeba było dopiero komunikatu japońskiego o „zabiciu generała Fertiga i zniszczeniu jego kwatery głównej, a następnie wyładowania w Australii kilku Amerykanów, którzy dopłynęli z Mindanao na stateczku krajowców, nie mając pojęcia o żeglarstwie, by w Stanach uświadomiono so-

⁹ David W. James, *The Rise and Fall of the Japanese Empire*. London, George Allen, 1952.

bie, po długich perypetiach weryfikacji każdego szczegółu dotyczącego Fertiga i jego rodziny, że mają na Filipinach swego dowódcę partyzanckiego. Nie przyszło to zresztą łatwo ludziom ze sztabu Sił Zbrojnych USA na Pacyfiku. Przecież swego czasu szef wywiadu gen. Willoughby stwierdził, iż „nie ma ruchu oporu na archipelagu i nie może go tam być”. Zupełnie jak japoński gen. Marimoto, który raz uśmierciwszy Fertiga w komunikacie, nie mógł bez obawy o kompromitację, podjąć nowych akcji przeciw niemu. A więc ukrywał jego działalność przed swoimi władzami, do pewnego czasu przynajmniej.

Wraz z nawiązaniem łączności zaczęły się dla Fertiga inne kłopoty, owe „normalne” kłopoty, jakie wynikają między odległą centralą a działającymi na zapleczu wroga oddziałami partyzanckimi. Odmówiono mu zatwierdzenia stopnia generalskiego, awansując go jedynie do stopnia pułkownika. Tej gwiazdki generalskiej nie otrzymał nawet po wojnie, tytułem rekompensaty za to wszystko, co dla Ameryki zrobił na Filipinach i w imię szacunku dla lojalności jego podkomendnych. Być może jednak, że właśnie dlatego, iż zrobił zbyt wiele, że wszystko, co zrobił, zrobił z własnej inicjatywy, że ta inicjatywa kłuła w oczy tych, którzy powinni ją przejąć we właściwej porze. Wszyscy bowiem „prawdziwi” generałowie amerykańscy albo po prostu uciekli, albo poszli grzecznie do niewoli. Żaden nie pomyślał o takiej ewentualności, jak partyzancka kontynuacja walki. Żaden sztab nie wydał ani nie otrzymał dyrektyw tego rodzaju. Zbiurokratyzowane aparaty nie znoszą przecież ludzi, którzy wykazują zdolność do działania bez instrukcji i potrafią zdobyć pozycję i autorytet nie tylko z nadania i błogosławieństwa władzy zwierzchniej. Bywają tolerowani, dopóki są potrzebni i użyteczni, mogą być z powrotem absorbowani, jeśli wykazą odpowiednie cechy przystosowawcze, lecz nie mogą liczyć na wdzięczność maszyny biurokratycznej, a taką były rozbudowane sztaby USA-Army. Ich działalność zawiera w podtekście zakwestionowanie autorytetu, kompetencji, sprawności i zdolności przewidywania tej maszyny, a więc niemal sensu jej istnienia. Fertig nie potrafił już włączyć się w reguły gry, jakie chciano mu narzucić. Swoją gwiazdkę nosił nadal. Na mianowanie go „dowódcą 10 okręgu wojskowego na Filipinach” i instrukcje otrzymane na początku marca 1943 r., a więc już po roku walk prowadzonych bez wszelkich instrukcji, odpowiedział Fertig w sposób daleki od kurtuazji: „Żądam pilnie *via* pierwszy zadysponowany transport lekarstw koniecznych dla leczenia chorób wenerycznych zarażonego składu osobowego. Fertig”.

Fertig doskonale przystosował organizację swego ruchu do warunków Mindanao. Potrafił zręcznie unikać konfliktów na tle animozji rasowych, plemiennych i narodowościowych. Rozbudował system baz, stworzył łączność wewnętrzną, służbę transportu morskiego i rzeczno oraz przerzutu przy pomocy tragarzy. Wykorzystywał poszczególne plemiona zgodnie z ich walorami — Moro jako ruchome oddziały, pigmejów-Negritos jako zwiadowców puszczańskich. Udało mu się przewyciężyć ambicje niektórych watazków partyzanckich i ich kochanek oraz dowódców plemiennych grup bojowych. Udało mu się też osiągnąć to, co jest zawsze żywotnym problemem żywiołowych ruchów podziemnych — stworzyć i utrzymać jedność organizacyjną. Walka o tę jedność, jedna z prawidłowości procesu ewolucyjnego partyzantki, miała tu swoje podłoże. Według Keatsa nie zawierała akcentów społecznych i politycznych, lecz starcie zasady organizacji i celowości (Fertig) z czynnikiem żywiołowości, awanturnictwa i anarchii (Morgan, jeden z dowódców partyzanckich, konkurent Fertiga). Brak nam materiału do głębszej analizy tego problemu. Ale już ten fakt, że Morgan był Filipinczykiem i opierał się głównie na Filipinczykach, każe nam z dużą ostrożnością przyjmować ten motyw w narracji autora.

Zjednane wpływy domy arystokratyczne, przede wszystkim zaś dońi Carmen

Ozamis, dały Fertigowi wpływ na inteligencję i zapewniły pomoc kleru. Ksiądz Haggerty był szefem jego wywiadu, którego sieć sięgała aż do łóża kochanki gubernatora Filipin — gen. Homma. Nawiązał kontakt z władzami kolaboranckimi i ich szefem gen. Roxasem. Pozyskał sobie współpracę patriotycznej części *ilustrados*, którzy okazali mu wielkie usługi w tworzeniu organów podziemnych władz administracji cywilnej oraz nieocenioną pomoc organizacji kobiecej pani Capistrano. Skłonił do współpracy klany burżuazji, co pozwoliło mu na zorganizowanie nielegalnego życia gospodarczego, włącznie z emisją partyzanckiej waluty. Miał własne wytwórnie kopy i amunicji. Z wystrzelonych nabożów musieli jednak partyzanci wycisnąć się pustymi luskami, które były ponownie załadowywane, jak też... uszami Japończyków. Partyzanci karali bezwzględnie kolaborantów i tępił spekulantów. Mindanao nie zaznało dobrodziejstw czarnego rynku aż do dnia wyzwolenia, kiedy to wyzwoliciele walcnie przyczynili się do wypełnienia tak dotkliwej luki w normalnym obrazie okupowanego kraju. Jeńców i więźniów trzymał Fertig w górskim obozie koncentracyjnym.

Ukoronowaniem aktywności Fertiga było powołanie „rządu wolnych Filipin”, co obudziło natychmiast czujność polityków filipińskich, skupionych wokół rezydującego w Australii rządu emigracyjnego i oczekujących na powrót w taborze gen. Mac Artura. Nie przyczyniło to, rzecz jasna, popularności Fertigowi na tym gruncie. Keats, niestety, nie zatrzymuje swej uwagi na problemach politycznych ruchu podziemnego, któremu przewodził Fertig. Mówiąc o kontaktach z partyzantką na innych wyspach, w tym na Luzon, nie wspomina też ani słowem o Huk-bala-hap¹⁰, chociaż kwestia stosunku do nich musiała stanąć przed Fertigiem.

Do ostrego konfliktu doszło między Fertigiem a australijską centralą na tle zasad działania podziemia na Mindanao. Jak pisze Keats, rozumowanie „speców od wojennego biznesu” było proste — jeden szpieg, dający dobrą informację o ruchu okrętów i statków nieprzyjaciela i jedna dobrze usytuowana łódź podwodna dają więcej efektu aniżeli setki *guerilleros* przez cały rok. Ale Fertig odpowiadał na to oficerom łącznikowym: „Jeśli jakiegoś Filipińczyka przywiązano do krzesła, by mógł dobrze widzieć, jak mu Japończycy gwałcą żonę i córki, to czy wierzycie, że taki Filipińczyk powie sobie — Japy zgwałcili moją żonę. To przykre, ale ja się zemszczę. Powiem Amerykanom, że mały stateczek japoński wyszedł wczoraj z Cagayan załadowany kopra. Oni go może zatopią i ja będę pomszczony”. Fertig rozumował poza tym słusznie, że dawać informację przez radio, to nie znaczy odsuwać się od nieprzyjaciela, lecz ściągać go na siebie. A więc obrona sieci radiowej jest niezwykle ważna, zaś zapewnić to może tylko partyzantka. Nie wiedząc o tym, Fertig starał się unikać skutków tej sytuacji, jaka powszechnie wystąpiła np. w sterowanych przez SOE siatkach, których nie osłonięte zbrojnie ogniwa służby radiowej okazały się najbardziej wrażliwymi miejscami, były najłatwiej wykrywane przez nieprzyjaciela, likwidowane, a częstokroć wykorzystywane dla *Funkspiel* lub głębokiej penetracji organizmów podziemnych. Uwadze służby informacyjnej Fertiga nie umknął najmniejszy transport japoński odchodzący z Mindanao. Bardzo często szły one na dno wkrótce po opuszczeniu portu.

Narzućni Fertigowi ludzie i narzucone zadania wprowadziły wiele komplikacji do działań partyzantki filipińskiej. Gdy zaś gen. Morimoto podjął w czerwcu 1943 r. operację „Wielki Grzmot”, zaczęły się dlań trudności, które przerodziły się w 1944 r.

¹⁰ Hukbong Bayan Laban sa Hapon — Armia Ludowa do Walki przeciwko Japończykom.

w sytuację wręcz krytyczną. Wyparty w góry, odcięty wpierw od ujścia rzeki Agusan, która była dlań drogą dowozu nadchodzącego transportem podwodnym zaopatrzenia, a następnie od wszystkich dogodnych punktów na wybrzeżu, zmuszony do niezwykłych wysiłków przy zorganizowaniu przerzutów ładunków przez góry, co wymagało użycia setek tragarzy w ciągu kilku tygodni, niemal pozbawiony łączności radiowej Fertig kontynuował jednak walkę. I dopiero teraz australijski sztab wziął odwet na krnąbrnym, samozwańczym generale. Mimo iż wyspa jego znalazła się w zasięgu lotnictwa amerykańskiego, odmówiono jego depeszom o rzuty lotnicze, ponieważ „powinien był wcześniej zgromadzić sobie zapasy”. Na prośbę o zatwierdzenie awansów dla jego oficerów, uprzednio szeregowców lub podoficerów armii amerykańskiej i filipińskiej, odpowiedziano negatywnie, wyjaśniając, iż to właśnie powstrzyma ich od chęci ewakuacji z wyspy, gdyż nie zechcą znaleźć się w Australii, gdzie byłiby znów zwykłymi szeregowcami i podoficerami. Przypadkiem tylko sprawa trafiła do Mac Arthura, który okazał się wyższy nad płaski machiawellizm personalników z jego sztabu.

Dla ruchu partyzanckiego najcięższe są zawsze dwa okresy: początkowy, gdy walczy o utrzymanie się przy życiu, o zakorzenienie się w terenie, i końcowy, gdy nieprzyjaciel oczekując przybliżenia się frontu stara się za wszelką cenę oczyścić swe zaplecze, zapewnić sobie swobodę ruchu. Można by jeszcze dorzucić tu trudności związane z samym nawiązaniem współdziałania partyzantki ze swoją czy też sojuszniczą armią regularną, z zetknięcia się obu tych, tak różnych organizmów wojskowych. Dla partyzantki Fertiga ten drugi był chyba najbardziej brzemienny w niebezpieczeństwo unieruchomienia lub klęski, a następnie w konflikty ze sztabami armii regularnej. Dowództwo wojsk amerykańskich, które wylądowały na Leyte, żądało rozmaitych usług od partyzantów Fertiga walczących z Japończykami, trzymającymi się jeszcze na wyspie. Gdy jednakowoż odmówiono wiary jego meldunkom o ilości zlikwidowanych wrogów, ten wysłał jako załącznik do kolejnego meldunku dwa wielkie gąsiory obciążonych uszu japońskich z prośbą o dokładne przeliczenie. Od tej pory już jego raportów nie kwestionowano. A uszu owych partyzanci mieli dość. Terror japoński w tych miesiącach osiągnął maksimum gwałtowności. Ale też niemniej bezwzględny był odwet. Kilkuset rozbitków japońskich, którzy uratowali się pod Surigao z zatopionych przez Amerykanów okrętów, zostało wybitych do nogi, zaś ich ciała porządane siekierami wrzucono do morza. Takie wypadki były na porządku dziennym. Jeńców nie brano. 14 000 partyzantów Fertiga zlikwidowało 7000 Japończyków, trzymało zaś w szachu 150 000. Jest to niemal wzorcowy stosunek liczbowy tych trzech wielkości.

Gdy działania wyzwolenicze ogarnęły Mindanao, wyspa doznała największych zniszczeń. Lotnictwo bombardowało miasta i wsie już zajęte przez partyzantów. Sztaby nie reagowały na protesty. Pieniądzy wydawanych przez „rząd” powołany przez Fertiga nie chciano wymieniać, mimo iż były tak lojalnie honorowane przez mieszkańców. Po wylądowaniu wojsk amerykańskich do zniszczeń materialnych dołączyły się spustoszenia moralne. Władze amerykańskie i popierane przez nich filipińskie oparły się na elementach kolaboranckich lub neutralnych *ilustrados*. Szeroko rozlała się fala spekulacji i korupcji. Keats z goryczą przeciwstawiał nowoprzybyłym tych Amerykanów, którzy niegdyś mieszkali i pracowali na Filipinach. Tamci, jak twierdzi, pozyskali sobie na ogół przychylność tubylców wspomnieniem o pomocy w walce z Hiszpanami i trzymaniem się pewnych zasad, reguł postępowania. Ci — ukazali zupełnie inne oblicze Ameryki, Ameryki bez wszelkich zasad. „To właśnie wtedy Amerykanie przegrali wojnę na Filipinach” — konkluduje Keats. Dopiero po kilku latach, gdy w kraju dokonały się głębsze przeobrażenia, gdy doszły

do głosu w szerszej skali te elementy, które wykazały się patriotyzmem w czasie wojny i w czasie wojny patriotyzmu i inicjatywy nauczyły się — nastąpiły zmiany na lepsze, jak utrzymuje autor.

Autor zamyka swą opowieść opisem wizyty Fertiga na Mindanao już po dobrych paru latach. Witali go ludzie, dla których był bohaterem narodowym i generałem, choć nadal bez gwiazdki. Wielu z jego dawnych partyzantów zajmowało teraz czołowe miejsca w życiu społecznym i gospodarczym archipelagu. Witali oni Fertiga jako człowieka, który „dał Filipińczykom poznać smak wolności i przekonał ich o ich własnych możliwościach”. W czasie swego triumfalnego objazdu wyspy spotykał Fertig wszędzie wielu swych towarzyszy broni. „Większość *guerilleros* przeżyła wojnę — stwierdza Keats nie bez pewnej dozy filozoficznej goryczy — gdyż to już tkwi w samej naturze *guerilli*, że przysparza ona znacznie więcej strat ludności aniżeli samym walczącym z obu stron”.